

Franciszek Pieczka. Legenda polskiego kina [TPCT 341]

Franciszek Pieczka nigdy nie był tym typem aktora, którego sława nosi po salonach czy też unosi wysoko, gdzieś w dawno niestykające się z gruntem okolice Plejad. Był to raczej aktor i człowiek twardo stąpający po gruncie, czujący zarówno jego zapach, jak i drżenie – współtowarzysz drogi, a nie jej obserwator ze szczytów Olimpu.

Wokół niektórych postaci wytwarza się atmosfera, której niepodobna podrobić. Ma się wrażenie, że jest się we właściwym miejscu, że figura, którą obserwujemy, jest dopełniona, kompletna. Co więcej, można odczuć zarówno magnetyzm odgrywanej przez nią roli, niezwykle powab tej kreacji, jak i poczucie, że nic nie mogłoby stanowić alternatywy dla tak skrojonej sylwetki. Jeżeli wydani jesteśmy na taki kunszt raz – to jest to niewątpliwe szczęście, że trafiliśmy na takie arcydzieło, jeżeli zaś mamy to poczucie za każdym razem, gdy kreowana przez tego aktora postać, ma swój charakterystyczny i wyrazisty smak – tu już nie może być przypadku, lecz miarą jest już tylko geniusz! A właśnie takie postaci tworzył na planie filmowym i scenie Franciszek Pieczka. Jednak nie tylko w świetle jupiterów i pomiędzy kolejnymi klapsami studyjnymi Pan Franciszek błyszczał tym światłem – ale i poza tą rzeczywistością emanował tym, co Grecy pewnie nazwaliby *metron* – miarą.

Copywritersko chciałoby się zakrzyknąć: Od Gwiazdora do Świętego Mikołaja! Lecz pomimo może i zgrabnej frazy, nie byłoby w tym wiele racji. Mam wrażenie, że Franciszek Pieczka nigdy nie był tym typem aktora, którego sława nosi po salonach czy też unosi wysoko, gdzieś w dawno niestykające się z gruntem okolice Plejad. Był to raczej aktor i człowiek twardo stąpający po gruncie, czujący zarówno jego zapach, jak i drżenie – współtowarzysz drogi, a nie jej obserwator ze szczytów Olimpu. Może to po prostu ugruntowanie w przekonaniu, że świat artystyczny to piękne zjawisko, ale gdy zostanie oderwane od problemów rzeczywistości, przestając o niej opowiadać – staje się niewiele zaznaczającymi didaskaliami? W każdym razie na próżno szukać próżnego Pieczki! Można powiedzieć, że raczej bliżej mu było do tradycji swojego imiennika, czy postaci, w której głos się wcielał za każdym razem, gdy Fundacja Świętego Mikołaja przygotowywała krótką prezentację własnego programu charytatywnego, próbując jednocześnie przywrócić postać świętego z Miry, tak często zniekształcanego przez płaski obraz komercyjnego krasnala. Bo właśnie ten wymiar „wyobraźni miłosierdzia”, o którym mówił Jan Paweł II, przeplatał się przy tych projektach a poczucie stania w tym miejscu było dla każdego z nas czymś oczywistym.

Jednak pisanie o Panu Franciszku bez całej legendy filmowej i scenicznej – to gadanie po próżnicy. Przecież fenomen polskiego kina powojennego miał swojego wielkiego przedstawiciela w postaci Pieczki! Listowanie każdego filmu, w którym wystąpił niezapomniany twórca roli Jańcia Wodnika, zajęłoby tu nie tylko kilka kart, ale stałoby się zarazem długim zwojem z zapisem kolejnych etapów polskiej kinematografii. A przecież ta naznaczała całe pokolenia! Wspaniałe role w takich filmach jak „Ziemia obiecana”, „Potop”, „Quo vadis”, „Konopielka” czy wspomniany już wcześniej „Jańcio Wodnik”, a także

Gustlik z „Czterech pancernych” – to przecież jedynie refleks całego uniwersum, które tworzyło imaginarium polskiej wspólnoty!

Współpraca z takimi reżyserami jak: Andrzej Wajda, Jerzy Kawalerowicz, Wojciech Jerzy Has, Kazimierz Kutz, Janusz Zaorski, Jerzy Hoffman, Krzysztof Kieślowski, Krzysztof Zanussi, Jan Jakub Kolski (...i ta lista mogłaby być na kolejne długie strony!) to swoiste aktorskie *cursus honorum*, ukazujące ścieżkę i znaczenie w przebytej drodze.

Żegnamy Pana Franciszka – człowieka-legendę polskiego kina, która – jak to zwykle bywa – opowiada znacznie więcej, niż zwykło się sądzić po pierwszym czytaniu. Do zobaczenia po drugiej stronie!

Jan Czerniecki

Redaktor naczelny